

Ławeczka Józefa Barana (24)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

Jak doszło do poznania? Impulsem stał się podobno wiersz *Śpiąca konduktorka*, na który krytyk natrafił w miesięczniku „Poezja” (w 1973 roku), gdy – nomem omen – sam jechał pociągiem. Wiersz wpadł mu w oko i przypadł do gustu na tyle, by – gdy rok później otrzymał od telewizyjnego „Pegaza” stertę tomików debiutanckich do oceny – skupił uwagę właśnie na moim zbiorze *Nasze najszersze rozmowy*, uznając go za najciekawszy debiut roku. Dowiedziałem się o tym, jak o sensacji od ekipy telewizyjnej z „Pegaza”, która nagrała ze mną w Krakowie rozmowę. Tymczasem ja, nieuk, nie wiedziałem wówczas jeszcze, kto to Sandauer, czym wprawilem redaktora w lekkie osłupienie. Program został wyemitowany. Ja w międzyczasie uzupełniłem wiedzę o krytyku, ale za wystąpienie w telewizji podziękowałem mu dopiero w rok później, kiedy wydałem kolejny zbiorek poetycki *Dopóki jeszcze* i wysłałem profesorowi z człołbitną (bo jakże by inaczej) dedykacją. A co działo się później – to już w listach...

Układa się z nich wieloletnia historia mojej znajomości z Sandauerami. Przy czym trzy-nastacie pierwszych lat to prawie wyłącznie listy z Arturem, następne – to korespondencja z Erną...

Zapamiętałem ich obojga jako „zgodne małżeńskie przeciwieństwo”: ogień i woda, burza i milczenie, sztorm słów i cisza morska. Przy stole biesiadnym „tokował” zawsze Artur. Erna w tym czasie z tajemniczym uśmiechem sfinksa formowała z papierowych serwetek figurki baletowe, którymi obdzielała dzieci (moje), a i czasem nas dorosłych. Czuło się, że Erna ma jakąś tajemnicę w środku. Dopiero po latach dowiedziałem się o tragicznych przejściach malarki w okresie okupacji, gdy na jej oczach szmalcownik zamordował w lesie jej rodziców, a ona sama cudem z tego wyszła, tak jak cudem wywinęła się też z

Holokaustu, ukrywając się przez parę lat w różnych miejscach i miastach...

Tak, Erna cała osnuta była tajemnicą i dyskrecją, ale od czasu do czasu wpadała w „szampańskie nastrój” i wykrzesywała za siebie fajerwerki surrealistycznego ścichapek humoru – układając żartobliwe kalambury, powiedzonka, wierszyki albo przekręcając pełne powagi zdania Artura i kształtując z nich – jak z bibulek figurki – słowne wygłupy. Wtedy pan Artur czuł się ubezwłasnowolniony. Jego profesorska powaga na tle jej wygłupów stawała się przez chwilę anachroniczna. Komentował to dobitnie: „Ela kocha wygłup. Wszyscy malarze kochają wygłup. Są nie na serio”...

W latach osiemdziesiątych Artur Sandauer przystał do obozu Jaruzelskiego. O szczegółach, związanych z tym „nieszczęsnym” – jak mawiał pod koniec życia – akcesem, piszę szerzej w przypisach do listów. Uważał, że stan wojenny był złem koniecznym ze względu na możliwość interwencji sowieckiej. Działał nawet w Narodowej Radzie Kultury. Twierdził, iż dlatego, bo miał nadzieję przekonania generała, by wprowadził do szkół średnich łacinę, gdyż Polacy są językowo „niedouczeni” (sam znał grekę, łacinę, hebrajski i posługiwał się w miarę biegle bodaj jedenastoma językami)...

Warto na koniec tego postscriptum dodać, że zarówno moje ostatnie spotkanie z Arturem, jak i z Erną, miały dość dramatyczny charakter. W 1988 roku na wieść o tym, że profesor jest w szpitalu na warszawskim Bródnie w stanie śpiączki – pojechałem do niego z kwiatami, lecz do rozmowy nie doszło. Leżał nieprzytomny, oczy miał zamknięte, wydawało mi się, że śpi, choć podobno moją obecność zarejestrował, o czym doniosła mi w listach Erna.

Z Erną po raz ostatni spotkałem się w 2003 roku, gdy przyjechałem do córki Asi do szpitala na Mokotowie (gdzie przyszła na świat moja pierworodna wnuczka) i postanowiłem zajrzeć przy okazji (z drugą moją córką Ewą) do bliskiego mi mieszkania przy ulicy Karłowicza.

Zastałem Adama (syna Erny i Artura), wówczas dziewięćdziesięcioletnią starszyczką, która miała już tak wtedy mocne zaniki pamięci, że mnie nie poznała. Odebrałem to jako szok... Mimo to rozmawialiśmy i poczęstowała nas herbatą i ciastkami. Jak surrealistyczny żart zabrzmiało jej zdanie: „Siadajcie, częstujcie się, ja nikogo nie pamiętam, nic nie wiem, poza tym że urodziłam się we Lwowie”. „Miejsca urodzenia sobie człowiek nie wybiera” – powiedziałem, żeby coś powiedzieć. „Tak pan myśli? Czy ja wiem... może jednak to od nas też zależy... gdy bardzo tego chcemy” – odrzekła z tajemniczym uśmiechem.

Kiedy wspomniałem o pogrzebie Artura w 1988 roku i o stypie, sformułowała zaskakującą myśl: „Ja też umarłam, tylko nie jestem jeszcze pogrzebana”. Po dawnemu się śmiała, po dawnemu wyglądała, po dawnemu słuchała. Tylko trochę bardziej przygarbiona, zdrobniła, przysiwiała... Miałem wrażenie, że za chwilę wstanie, roześmieje się i powie: „Ja tylko tak żartuję, oczywiście, że Cię pamiętam

i pamiętam Twoją książkę *Śnił mi się Artur Sandauer*... A jednak nie wstała, nie powiedziała tak, a o książce nie pamiętała. Zachowywała się jak małe inteligentne dziecko, które sonduje reakcje dorosłych i odpowiednio się do nich ustawia. Przy pożegnaniu wiedziałem, że jest to nasze ostatnie spotkanie... Że jest teraz kimś w rodzaju dziecka, po jakimś czasie przemieni się w oseska i powróci do łona matki-ziemi. Może to nawet błogosławiony stan taki zanik pamięci, takie powolne oswojenie się z nieistnieniem... Za chwilę ludzie znikną i świat zniknie jak wywabiona plama... A przecież napisała mi w ostatnim liście, że wszystko, co było – jest i wciąż trwa...

Październik – Zapiski szwedzkie

Lot do Sztokholmu potem przejazd z lotniska Skavsta do Sztokholmu gdzie czekała pani Ewa Bielska ze Stowarzyszenia Polek, która zawiozła mnie na Handelsvägen 172 (Hotorget). Kolacja u Marii Zięciak (schorowana) w Domu Seniora. Pokoik z widokiem na jarzębinę i lassek. W Sztokholmie lasy i gwiazdy wchodzą do okien: dębowe, lipowe, brzożowe. Fantastyczna sprawa. Dobry, stonkowo długi jak na mnie sen. Poczytywanie *Dziennika 1954*, który pozytywnie mnie rozczarował. Nie myślałem, że Tyrmand to taki talent pierwszej wody. I jaka kultura, jaka ostrość widzenia i nazywania! Oczywiście może irytować jego snobizm, jego przywiązywanie nadmiernej uwagi do strojenia się, puzszenia przed lustrem i imponowania bikiniarstwem. Jest mi to jako półabnegatowi-hipsterowi zupełnie obce, choć odczuwam też nutkę zazdrości, bo jego gust znamionuje wyższą „próżniaczą” klasę, co wynosi się z domu, gdzie obowiązywała inna niż w moim chłopskim, kindersztuba, ufundowana właśnie na bezliku wolnego czasu... Czyta się Tyrmand z wielką przyjemnością. Na zdjęciu – jego twarz „na serio”, choć myślałem, że niepoważny, ale dotąd mało bardzo znałem Tyrmanda... Poza tym przy czytaniu nachodzi człowieka zdziwienie, jak dużo można powiedzieć o sobie, o świecie, o stalinizmie, zapisując tylko trzy miesiące z własnego życia. Jak się to ma do Szwecji. Oczywiście nijak. W autobusie i samolocie trzeba się jednak czymś wypełniać i dokarmiać. Nie tylko bułkami z szynką. Wyprawa do Sztokholmu jest moją małą podróżą sentymentalną. Ile razy ja tu już tu czasu spędziłem!? Gdyby zsumować, to uzbierałby się pewnie rok. Cieszę się, że dostałem od pań kartę tygodniową na dowolne przejazdy, mogę fruwać po mieście i od-pominać nazwy przystanków, dzielnic, ulic, w ogóle Sztokholm.

cdn.

